

Nr. 17. Poznań, dnia 27 Kwietnia 1878. Rok I.

Lech-Czech-Rus.

Powieść historyczna spółczesna.

Napisał

Z. Miłkowski.

(Ciąg dalszy.)

Czytelnicy polscy wiedzą zapewne, co to jest Muzeum polskie w Rapperschwyl. — Wspomnę więc o niém w krótkości, nie wdając się w opis szczegółowy, a zaczynając od tego, że Szwajcarya nie mogła w obec świata wystawić sobie lepszego świadectwa sympatycznéj dla Polski gościnności, jak dając zamek rapperswylski na miejsce przechowywania pamiątek polskich. Miejscowość przedziwnie odpowiada przeznaczeniu swemu. Na stromym cyplu od Alp odłamanym a wciskającym się w jezioro, wznosi się średnie wieki pamiętająca budowla. Poczerniałe jéj mury widać z daleka. Wystają one z poza drzew stuletnich, stojących z przodu na warcie niby i wyskakują w górę, wysoką na piąter kilka wieżą strażniczą, stawiącą czoło burzom, które przesmykiem tym przeciągać lubią. Po murach pnie się bluszcz, strojący je w girlandy zielone, zwieszające się ponad bramą, prowadzącą na podwórzec zamkowy. Na podwórcu wita przychodnia pomnik polski — kolumna czarna, na niéj do lotu zrywający się orzeł biały, na piedestalu napisy. Lechowi naszemu widok ten, który mu się niespodzianie przedstawił, łzy z oczu wycisnął. Stanął, wpatrzył się i Bóg wie jak długo pozostawałby w stanie tym niemęj kontemplacyi, gdyby go z takowego nie wyprowadziło nadejście dwojga ludzi, przybyłych dla zwiedzenia muzeum.



Tytus Działyński.

Para ta składała się z mężczyzny i kobiety. Mężczyzny i kobiety. Mężczyzna wyglądał na lat trzydzieści z górą — wzrostu był więcéj aniżeli średniego, budowy ciała kształtnéj i silnéj, czoła wyniosłego, włosów jasno blond, nad lewém uchem rozdzielonych i spadających mu na kołnierz od odzieży nie po rafaelowsku, a raczéj po lisztowsku. W dużém jego błękitném oku świeciła pogoda duszy; oblicze strzelało wyrazem rozumu; usta wązkie, widne zaledwie z pod obfitych wąsów, które się z brodą łączyły, znamionowały usposobienie sarkastyczne, które w harmonijną całość zlewało się z wyrazem melancholji, oblewającym postać jego z góry do dołu, na kształt obłoku przejrzystego. Przez skórę niemal czuć w nim było artystę — malarza, muzyka, poetę może.

Towarzyszka jego należała do tego córek Ewy rodzaju, od którego płeć jéj dostała nazwę pięknéj. Była to kobieta piękna, pięknością oryginalną jakąś i tém też

bardziéj pociągającą; — nos lekko zadarty, kości policzkowe nieco wystające, oczy trochę ukośne, usta odrobinę za wielkie, cera świeża i przypłomieniona niby, harmonia kształtu doskonała, wszystko to razem wzięte stanowiło całość otoczoną ponętami z przodu, z tyłu i ze stron wszystkich. Ponęt nie ujmował jéj strój na poły podróżny, z gustem atoli i ze znajomością rzeczy zrobiony i noszony, z pod którego w chodzie pokazywała się proporcyonalna i zgrabnie w bucik elegancki ozuta nóżka; na głowie bujne warkocze przykrywał kapelusik, obwinięty niby turbanikiem woalem koloru hawanna; w ręku niosła parasolkę, która zarazem służyła jéj za laskę; przez ramię przewieszone miała binokle.

Obecność téj pary, ktora się nagle pojawiła, do porządku niejako bohatera naszego przywołała. Spojrzał i od pierwszego oka rzutu poznał, że dwoje tych ludzi nie są to pierwsi lepsi. Wiało od nich dystynkcyą, którą w pani cechowało coś egzotycznego, coś nieuropejskiego, a przecież doskonale Lechowi znajomego, coś takiego co dla oczów jego było magnesem. Spojrzał na nią raz, spojrzał raz drugi, ona zaś, nie zważając na niego bynajmniéj, obchodziła pomnik do koła, zatrzymywała się i, wskazując parasolką, uwagi czyniła. Mówiła po francuzku, głosem czystym i wdzięcznym, co to sam przez się jest, niby śpiew syreny. Lechowi w słuch następujące wpadły wyrazy:

— Widzisz pan... ci Polacy!... noszą Polskę swoję ze sobą... Oto znaleźli sobie wzgórze, na którém symbol ojczyzny wystawili, światu na pokaz, Rossyi na urągowisko...

— Świadczy to o ich niczém nie złamanéj żywotności... — rzekł młody człowiek.

— Tak... o tak... Żywotność ta atoli nie przedstawia się tu nader estetycznie... Ta kolumna, ten orzeł, ten piedestał... jest im do zarzucenia wiele pod względem harmonii, więcéj jeszcze pod względem myśli, która z dzieła sztuki przemawiać powinna językiem dla każdego zrozumiałym...

— Monument ten przemawia językiem patryotyzmu... wtrącił mężczyzna, który pomnikowi przypatrywał się uważnie. Patryotyzm ma język swój osobny, który na poszanowanie zasługuje...

Dama nie odpowiedziała na to nic, obchodziła pomnik ze strony przeciwnéj téj, z któréj stał Białoorłowicz, i wychodząc z poza kolumny, patrzała nie na kolumnę, ale na niego. Zmierzyła go spojrzeniem od stóp do głowy i utkwiła weń oczy. Lech, zwrócony do niéj bokiem, nie widział tego, kiedy zaś oczy na nią zwrócił, wzrok jéj padał wprawdzie na niego, ale bez wyrazu, albo raczéj z tym wyrazem, co to nie mówi nic, patrzy, a nie widzi. To tknęło bohatera naszego w sposób niemal obraźliwy. Odwrócił się też i udał pospieszniéj jakby należało ku wnijściu do zamku, przekroczył próg i rozpoczął zwiedzanie muzeum od sieni. Następnie wyszedł na piętro, gdzie znajdują się sale z pamiątkami narodowemi, których okaz niemal każdy budzi wspomnienie działalności polskiéj na polu dziejowém i męczeństwa narodu.

Grubego dopuścilibyśmy się kłamstwa, gdybyśmy twierdzić mieli, że muzeum rapperschwylskie przewyższa inne tego rodzaju zbiory. Nie — nie powiemy tego. Nie tylko nie przewyższa, lecz pod względem tak ilości jak doboru, ustępuje niejednemu. Zaliczyć je należy do skromnych, bardzo skromnych; skromność atoli nie przeszkadza mu bynajmniéj być bogatém temi drobnostkami, których wartość, żadna dla obojętnego, wysoką jest w oczach Polaka. Pełno tam relikwij narodowych nieocenionych, takich zwłaszcza, których przechowywanie uważane w zaborze moskiewskim za wyraźną zbrodnię stanu, w zaborach austryackim i pruskim stanowiłoby przedmiot tolerancyi mniéj albo więcéj łaskawéj, a zawsze ubliżającéj i dotkliwéj. Przedmioty niektóre, jak n. p. pamiątki po męczennikach sprawy polskiéj, sztandary insurrekcyjne, dokumenta powstańcze i tym podobne świadectwa historyczne, tolerowanemi by i w Austryi nie były. W Rapperschwyl gromadzi się to wszystko swobodnie i bezpiecznie, jakby się gromadziło, gdyby Polska wolną i niepodległą była. We względzie tym muzeum rapperschwylskie jest konieczném i wielce pożyteczném muzeów krajowych dopełnieniem. Jako takie też nabiera wagi ogromnéj. Polakowi, którego obchodzą rzeczy narodowe, nie wiedzieć o niém nie wolno, wiedząc zaś nie godzi się nie przyczyniać do wzrostu onego. Dotyka ono sumienia narodowego, obrachowującego się z samém sobą. Są muzea tego rodzaju pod panowaniem moskiewskiém, są i pod niemieckiém, ale się dzieje z niemi to samo, co z drukowanemi pod dozorem zaborców Polski książkami; cenzura wyrzuca z nich to właśnie, co jest najżywotniejszém i najpotrzebniejszém, zostawiając same bezbarwne ogólniki. Kto ogólniki owe chce odpowiednio zabarwić, uciekać się musi do książek nie cenzurowanych. Zastosowując to do muzeów, znajdujemy toż samo. Muzea krajowe zawierają w sobie ogólniki, których zabarwienia, uakcentowania szukać należy w Rapperschwyl. Tam zwiedzający przekonuje się, że Polska nie jest tylko zabytkiem dawnych czasów, ciekawością historyczną, lecz żywym, narodowym indywidualizmem, posiadającym przeszłość, która względem przyszłości pełni funkcyę rękojmi. Tam powitają go: i kosa racławicka, i sztandar poszarpany w walkach o niepodległość, i świadectwa zasług, jakie ojczyzna polska położyła w sprawie wolności. Nigdzie oglądać nie można tyle pamiątek po Kazimierzu Puławskim i Tadeuszu Kościuszce; nigdzie spotkać się nie można z relikwiami Zawiszów, Konarskich, Bosaków, obok przedmiotów budzących wspomnienia czasów bardzo dawnych, sięgających epoki Leszka Czarnego. Słowem, jest to zakład ogromnie pożyteczny i bardzo potrzebny, zakład wypełniający lukę, powstałą ztąd, że Polska znajduje się w stanie niewoli. Założycielowi onego należy się cześć i wdzięczność, uznanie i poparcie. Bez niego, wszystko to, co w muzeum, w należném poszanowaniu i we wzorowym przechowuje się porządku, uległoby nieochybnie bezpowrotnemu zniszczeniu, niepowetowanéj zatracie: — i jednéj wielce, jeżeli nie najbardziéj ciekawéj, a ogromnie ważnéj karcie dziejów polskich zabrakłoby świadectwa.

Myśli powyższe napłynęły tłumnie do głowy Lecha naszego, jak skoro stanął śród pamiątek ojczystych. Ze ścian, z szaf, ze stołów wionęła ku niemu przeszłość da-

wniejsza i mniéj dawna, zamaszysta, szlachecka, gwarna, często błędna, lecz w dobréj wierze, niekiedy grzeszna, ale rzadko z własnéj winy, a zawsze piękna, poetyczna, szczytna, wcielająca się w postacie olbrzymie, które, jakby na przeglądzie, przesuwały się przed oczami jego. Oczami duszy widział ideę polską, usymbolizowaną w podaniu o trzech braciach, kroczącą przez wieki i wystawioną na próby czasu, na pokusy, na gwałty, wyraźną zrazu, zamgloną następnie i występującą w końcu na sztandarach bojowych w napisie: „Za naszą i za waszą wolność.“

— Jest-że to mrzonka?... — zapytał siebie Lech. Nie ma-ż żadnego związku pomiędzy ideą przewodnią polską, a pracą ku wyzwoleniu się, odbywającą się obecnie w łonie ludzkości?... Nie ma-ż Polska sprzymierzeńców w tych tłumach uciśnionych i wydziedziczonych, będąc sama uciśnioną i wydziedziczoną?...

Przechodził z sali do sali, przypatrywał się i myślał. Wraz z nim zwiedzało muzeum osób kilka, po największéj części cudzoziemców. Pomiędzy niemi atoli był Polak jeden. Lech poznał go od pierwszego oka rzutu — po minie i stroju: minę miał gęstą, a ubrał się w kontusz i karabelę — widoczném było, że wystąpił na popis. Na czole niejako świecił mu napis: „Niech znają Szwajcarowie Polaka!” Dla napisu tego nie zbliżał się Lech do niego, nie mógł atoli nie widzieć go i nie spotykać się z nim tu i owdzie. Kontuszowiec zaczepiał zwiedzających zapytaniami, albo raczéj jedném i temże samém zapytaniem:

— Pan Polak?...

Odpowiedź, jakiéj mu udzielano, polegała na ściśnieniu ramionami, aż zeszedł się z bohaterem naszym. Nastąpiło to przy stoliku, na którym pomiędzy innemi przedmiotami leżały ostrogi starożytne.

— Pan Polak?... — zapytał.

— Tak, panie...

— Ano... przecie... Z temi wołami szwajcarskiemi, proszę pana dobrodzieja, dogadać sie nie sposób...

— Czemuż się pan tak o nich pogardliwie wyrażasz?... czyż oni obowiązani rozumieć po polsku?...

— Ano... to już taka natura moja... Rżnę, mości dobrodzieju, prawdę każdemu w oczy... Gdyby wołami nie byli, to by po polsku rozumieli, widząc zwłaszcza, z kim do czynienia mają... Umyślnie na to ubrałem się w kontusz i przyczepiłem sobie karabelę...

Lech zmiarkował, że dyskusya z tym obywatelem nie doprowadziłaby do niczego. Zamiast mu przeto objekcye jakoweś czynić, powtórzył echowym sposobem słowa jego:

— Ubrałeś się pan w kontusz i przyczepiłeś sobie karabelę umyślnie...

— A tak... o tak... — podchwycił kontuszowiec U nas, panie, to rzecz zakazana, zabroniona, a!... niech Pan Bóg broni... To téż — tu głos zniżył — wyjechałem za granicę, kazałem sobie strój polski w Krakowie sporządzić, a że w Krakowie szpiegów moskiewskich pełno, kropnąłem się aż tu i oto, widzisz mnie pan dobrodziej... A co?... Jak mnie pan dobrodziej widzisz, takżem się kazał odfotografować... i od fotografa ruszyłem wprost na statek i przyjechałem tu... Umrę przynajmniéj z tém wspomnieniem, żem miał strój staropolski na grzbiecie...

Wyrazy ostatnie wymówił z rozrzewnieniem, które Lecha tknęło. Domyślił się, że ma przed sobą stare dziecko. Miał już przycinek na ustach, ale się z nim wstrzymał — zapytał:

— Więceś pan z Krakowa wprost do Rapperschwylu zmierzał?...

— A nie... Wyjechałem z Krakowa z kontuszem w tłumoku w téj myśli, że gdzieś przecie znajdzie się zakątek taki, w którym będzie można wystąpić... Przyjeżdżam, mości dobrodzieju, do Wiednia... szpiegi; do Pesztu... szpiegi; wracam do Lwowa... szpiegi; ruszam do Pragi... szpiegi; jadę do Karlsbadu... szpiegi; do Drezna... szpiegi; do Monachium... szpiegi... Rozpytywałem, dowiadywałem się i zabłądziłem nakoniec tu... I tu, słyszę, są szpiegi, ale... pal ich tam diabli!... zaryzykowałem się...

Przy słowach ostatnich, wypowiedzianych z giestem odpowiednim, wyraz odwagi heroicznéj z oczu mu strzelił. Nadął się i prychnął.

— Pan więc muzeum zwiedzasz... rozpatrywałeś ostrogi... — rzekł Lech.

— Ostrogi hm... tak... Zastanawia mnie, że ich ani odreperować, ani nawet odczyścić nie dadzą...

— Jakto?... wyrwało się Lechowi zdumieniem nabrzmiałe zapytanie.

— Bo i do czegóż, proszę pana dobrodzieja, taki grat stary!... Zardzewiało to... a co za kształt!... Któżby włożyć mógł ostrogi podobne!... Ostróg powinien być na cal, na półtora cala najdłuższy, wygięty, z kółkiem wielkości dwudziestówki drobno naciętém i lekko się obracającém... A to, kolce jak u jeża, żelaza długie, przydatne chyba do tego, ażeby koniom brzuchy dziurawić... Licho nie co!...

— Jest to zabytek starożytności... odrzekł Lech. Praojce nasi takich używali ostróg...

— Praojce nasi?... — podchwycił kontuszowiec. — Ja temu nie wierzę... To być nie może... Praojce nasi mieli, panie dobrodzieju, rozum... A!... wiem ja... — dodał — nastała teraz moda nie zostawiania czystéj na praojcach naszych nitki... To téż, trzech groszy nie dałbym za to, że ktoś ostrogi te podsunął umyślnie, w celu ośmieszenia praojców naszych... Do czego to podobne!...

Kontuszowiec mówił głośno po polsku i giestykulował. Mówienie jego zwróciło na siebie uwagę, najprzód owéj pary z pod pomnika, która, wszedłszy w téj chwili, zatrzymała się na moment i poszła daléj, następnie czerstwo wyglądającego i prosto się trzymającego jegomości, który się zbliżył i po polsku przemówił:

— Panowie — rzekł — postrzeżenia czynicie...

— Co do tych ostróg... — odparł kontuszowiec. Licho wie, co to...

— Katalog opiewa... potrzeba szukać pod numerem odpowiednim...

— Nie o to chodzi... Pan — tu skinieniem głowy na Lecha wskazał — utrzymuje, że są to ostrogi praojców naszych...

— Nie... — odrzekł jegomość, przypatrując się — to francuzkie, rycerskie z wieku XVgo...

— Aha!... — podchwycił kontuszowiec — a co!... Jam też od jednego oka rzutu poznał, że to nie polskie... Od jednego oka rzutu, panie dobrodzieju...

— Pan taki w archeologii biegły...

— Thi... to jest... Znać się znam... ale nie zajmuje mnie ona wyłącznie...

— Szkoda... zauważył jegomość — pomógłbyś nam pan w klasyfikowaniu przedmiotów niektórych... Mamy tu, naprzykład, tabakierkę jednę z napisem i nietylko napisu odczytać, ale nawet wiedzieć nie możemy w jakim on języku...

— A!... — kontuszowiec na to, dłonie podnosząc z akcentem protestacyi — co do tabakier, to nie moja rzecz... tabaki'm nie zażywał nigdy...

Jegomość uśmiechnął się nieznacznie. Lech nie potrzebował wielkiego domyślności wysiłku, ażeby poznać w nim Władysława Platera, fundatora muzeum. Kiedy więc się Plater uśmiechnął, bohater nasz w następujący przemówił do niego sposób:

— Pozwól pan złożyć sobie podziękowanie serdeczne...

— Za co?... — zapytał tenże.

— Za ratunek burzami miotanych resztek z rozbicia korabia polskiego...

— Ha! panie... inni gadają, my robimy, inni się kłócą, my zbieramy i składamy, resztki wprawdzie, ale nie z korabia rozbitego... Korab' polski nie rozbity... o! nie... Kto to panu powiedział, że rozbity?... moskale chyba?... Polska, panie, jest rozszarpana, ale żyje... i zcali się w chwili, gdy się wszyscy zgodzimy na jedno... Ja w to wierzę i wierzyć w to musisz tak pan, jak Polak każdy,.. Że tak jest, że Polska żyje, macie panowie świadectwo oto tu...

Ramię podniósł, do koła niém powiódł i dodał:

— Zwiedzajcie, dowiadujcie się, uczcie i wychódźcie ztąd pokrzepieni na duchu...

Rzekłszy to, odwrócił się i poszedł.

— Impetyk jakiś...—mruknął kontuszowiec do siebie.

W chwili téj z drzwi sali przyległéj wynurzyła się para z pod pomnika. Pani, idąca przodem, spojrzała na Lecha, a ujrzawszy go zamyślonym, wzrok dłużéj zatrzymała na nim. Wzrok jéj chodził z taką uwagą po młodego człowieka postaci, jakby analizował takową w najdrobniejszych onéj szczegółach. Lech nie czuł go na sobie; myślał zapewne w téj chwili nad słowami Platera, znamionującemi silną a niczém niezachwianą wiarę; nie widział ani damy, ani towarzysza jéj, posuwających się krok za krokiem do koła sali. Kontuszowiec za to spostrzegł ich — chrząknął, odwrócił się i odezwał do Lecha półgłosem:

— Trzeba to się ztąd wynosić, panie dobrodzieju... szpiegi... C. d. n.

Tytus Działyński.

Do najznakomitszych i najzasłużeńszych Polaków w ostatnich czasach należy bez wątpienia Tytus Działyński. Twierdzenie to nie jest wcale przesadą, gdyż surowy krytyk Bartoszewicz mówiąc z największém uznaniem o Działyńskim, taki o nim sąd wydaje: „Rzeczywiście ten człowiek był wielkim. Dzisiaj nas jeszcze tak nie olśniewa ta marmurowa, ta posągowa postać, ale miną wieki, a Działyński odrysuje się na przezroczu dziejów, jako jeden z najdostojniejszych obywateli.” Ztąd słuszna, aby życie i czyny tak znakomitego męża jak najdokładniéj znane były naszemu społeczeństwu.

Urodził się Tytus Działyński 25 Grudnia 1797 r. w Poznaniu. Rodzicami jego byli Ksawery i Justyna z Dzieduszyckich. Rodzina Działyńskich należy do starożytnych i dobrze zasłużonych w Polsce. Początek swój wywodzi z Kościelca, dopiero z czasem od Działynia w ziemi Dobrzyńskiéj przybrali nazwę Działyńskich. Piotr z Działynia podpisał się 1438 r. na liście Władysława Jagiełły, danym miastu Kraków. Kwitnął ten ród mianowicie w Prusach Zachodnich czyli w Pomorzu, dzierżąc godności wojewodów, kasztelanów, starostów i biskupów, i odznaczając się wielką stałością w religii katolickiéj. Paweł Działyński posłował za Zygmunta III do Holandyi i Anglii, a inny Paweł założył klasztor Reformatów w Łąkach nad Drwęcą. Adam bronił mężnie Malborga przeciw Szwedom i poległ w bitwie pod Cudnowem, walcząc z Moskalami: Jan, wojewoda chełmiński, fundował kolegium XX. Jezuitów i klasztor Benedyktynek w Grudziądzu, a Kasper, biskup chełmiński, wybudował klasztor Reformatów w Pakości. Zygmunt, wojewoda kaliski, dał blachę srebrną do zasłaniania cudownego obrazu Matki Boskiéj w Częstochowie. Ignacy, stryj Tytusa, był posłem na sejm wielki 1788 r. i dowódzcą pułku pieszego, który zapisał się krwawemi głoskami w historyi polskiéj, jako pułk Działyńskich, odznaczając się mianowicie dzielnością w powstaniu warszawskiém Kilińskiego i pod Maciejowicami. Ojciec Tytusa Ksawery należał do najwyższéj rady w powstaniu kościuszkowskiém, a późniéj walczył w legionach pod wodzą Dąbrowskiego we Włoszech.

Wypadało tu wspomnieć choć słówkiem o tych znakomitych przodkach, gdyż Tytus brał ztąd podnietę, aby wyrównać im pięknemi czynami, a skutek był ten, iż nietylko nie zaćmił pięknego imienia rodowego, ale jeszcze je nową chwałą ozdobił. „Sława przodków”, są słowa Bartoszewicza, „nie dała Tytusowi Działyńskiemu zasnąć jednéj chwili spokojnie, a zacny człowiek utrzymać się musiał na tém samém stanowisku co starzy Działyńscy, inaczéj zrobiłby sobie przy końcu życia bolesny wyrzut, że sponiewierał zasługi przodków i że opuściwszy się sam, ubliżył znakomitemu nazwisku, które nosił.”

Ojciec Ksawery dał młodemu Tytusowi jak najtroskliwsze wychowanie. Uczył go początkowo ex-jezuita Miszewski, który celował biegłością w łacinie. Tytus korzystał dobrze z tego kierunku, gdyż nauczył się doskonale mówić i pisać po łacinie. Oprócz tego uczynił tak niezwykłe postępy w naukach przyrodzonych, że w Pradze czeskiéj nietylko ukończył kurs nauk w szkole politechnicznéj, ale złożył nawet egzamin na profesora matematyki. Przez całe życie chował Tytus Pragę i Czechy w wdzięcznéj pamięci. Jeździł tam często, obcował z uczonymi czeskimi, a mianowicie z Hanką i żywił wielkie współczucie dla bratniego narodu czeskiego.

R. 1819 objął po zgonie rodzica zarząd rozległych włości, zaś 1825 r. zawarł śluby małżeńskie z Celiną Zamojską, córką szlachetnéj Zofii, założycielki Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie, a siostrą Andrzeja i Władysława Zamojskich.

Nie były obce Tytusowi przygotowania do powstania listopadowego, owszem była chwila, że w ręku jego spoczęła przyszłość Polski, gdyż mając udział w tak zwanym spisku Koronacyjnym, który miał na celu zgładzenie całéj rodziny carskiéj w Warszawie, mógł był powstrzymać lub zachęcić szkołę podchorążych do wykonania tego zamiaru. Działyński ubezwładnił ten brzemienny skutkami zamiar.

Trudno zaiste wydać o tym czynie sąd stanowczy. Jedni poczytują Działyńskiemu za zasługę, że nie dozwolił, aby Polacy splamili swe ręce krwią ciemięzcy, inni atoli uważają to za wielki jego błąd i słabość, że zamiar ten się nie urzeczywistnił. Pragnących poznać bliżéj tę sprawę odsyłamy do Historyi Powstania Narodu Polskiego w r. 1830 i 31 przez M. Mochnackiego, gdzie w I księdze o tem mowa.

Na hasło powstania 29 Listopada 1830 r. był Tytus pierwszym z Wiekopolan, który z orszakiem zbrojnych



Dyngus.

ruszył na bój krwawy. Początkowo brał udział w szwadronach poznańskich, późniéj był adjutantem naczelnego wodza Skrzyneckiego, a w końcu znajdował się w korpusie jenerała Ramorino. Za okazane męztwo uzyskał krzyż żelazny i stopień majora, atoli rządy pruski i rosyjski zabrały mu majątek, a ostatni nawet zaocznie go na śmierć skazał. Uchodząc do Francyi, dał miejsce w swym powozie Walewskiemu, późniejszemu ministrowi Francyi. Ośm lat spędził Działyński w majątku żony Oleszyce w Galicyi, aż w końcu wygrał proces z rządem pruskim, na mocy którego odzyskał dobra w Wielkopolsce. Odtąd osiadł stale w Kórniku.

Jeszcze przed powstaniem nabrał Tytus wielkiego zamiłowania do starych książek. Z czasem tak się wydoskonalił w zawodzie bibliograficznym, że bodaj czy miał równego w całéj Polsce. Znał wszystkie stare książki

polskie, a prawie wszystkie ważniejsze były jego własnością. Ukochał on stare druki, to też wyjeżdżając w podróż brał z sobą cenne zabytki. Do tego stopnia był znawcą książek, że dość mu było w nocy wziąść książkę w rękę, a wnet z papieru i woni oznaczył wiek a nawet w zbliżeniu rok druku. Zbierał przez całe życie rzadkie książki polskie, to też książnica Kórnicka należy do najpierwszych w Polsce, a uczeni liczne tu odbywają wędrówki, aby korzystać z nagromadzonych skarbów.

Działyński nie dla siebie zbierał rękopisy i dzieła, ale dla narodu, ztąd chętnie pozwalał na użytkowanie, a co jeszcze ważniejsza zajął się ogłoszeniem na widok publiczny cennych rękopisów, zawierających bardzo ważne materyały do historyi polskiéj. Jeszcze 1828 r. wydał w Brzegu pierwszy raz drukiem: *Pamiętniki Jana Kilińskiego*, które Mickiewicz tak wysoko sławi w prelekcyach o Literaturze Słowiańskiéj. Powstanie listopadowe uczyniło przerwę w naukowych pracach, dopiero po powrocie do Kórnika zajął się na nowo wydawnictwami. R. 1842 ogłosił nader ważne dzieło, którego druk rozpoczął się już był 1828 r., ale z powodu powstania nie przyszło wówczas do wydania: „*Statut litewski, zbiór praw litewskich od r. 1389—1529.*" Prawa te są pisane w języku ruskim, tylko przedmowa po polsku. Z innych wydawnictw Działyńskiego uwagi godne: „*Lites ac res gestae*," jestto zbiór ważnych dokumentów, odnoszących się do zatargów z Krzyżakami. Ażeby mieć wyobrażenie o kosztowności tego dzieła, dość wspomnieć, że cena księgarska wynosi 48 tal. „*Zabytek mowy polskiéj.*" Są to kazania polskie starożytne, znajdujące się w bibliotece kapitulnéj w Gnieźnie. Mozolnéj pracy przepisania z rękopisu i korekty dopełnił pan L. Jagielski. „*Rodowody Szydłowieckich*" z wspaniałemi rycinami. „*Policya Królestwa Polskiego*" przez Orzechowskiego. „*Źrzodłopisma do Dziejów Unii*" itd. Koroną tych wydawnictw są tak zwane „*Acta Tomiciana*," obliczone na 27 tomów, z tych Tytus zdążył tylko 8 tomów wydać. Tomicki był biskupem i krakowskim kanclerzem, a zatém z jego ręki wychodziły dokumenty i listy rządowe. Kanonik Górski, sekretarz Tomickiego, z wdzięczności dla swego dobroczyńcy, zebrał wszystkie listy do niego i od niego pisane, potém listy wszystkich historycznych ludzi epoki zygmuntowskiéj. Zbiór ten znany jest pod nazwą: *Acta Tomiciana.* Niesłychanie to ważne źródło do czasów zygmuntowskich, a mianowicie do panowania Zygmunta I. Dokończenie wydania tego pomnikowego dzieła przekazał Działyński synowi swemu Janowi. Oto słowa, jakiemi się z tego powodu do swego syna w przedmowie odzywa: „Stary już jestem, alem dumny tobą i nie umrę zapomniany, bo ciebie zostawiam, ty pójdziesz daléj i nie pozwolisz, by nie zaginął ten pomnik najpiękniejszych naszych czasów zygmuntowskich. Jam zbierał tylko w spokojności księgi i wydał je, bom musiał zdać liczbę z mojego życia. Jakikolwiek zawód życia weźmiesz przed się, zawsze niechaj ci miłość dobra publicznego przewodniczy."

Na wydawnictwo tych kosztownych dzieł łożył kilkadziesiąt tysięcy talarów, gdyż Działyński baczył pilnie, aby druk, papier i ryciny były jak najświetniejsze. Są to też jedyne wydawnictwa w swoim rodzaju. Szkoda, że szlachetny wydawca nie pomyślał prócz tego o tanich wydaniach tych znakomitych publikacyi. Działyński poświęcił głównie swe siły i majątek ulubionym książkom i wydawnictwom, ale bynajmniéj w nich się nie zagrzebał. Brał on nader czynny udział w pracy narodowéj. Po roku 1848 był stale posłem na sejm berliński, gdzie wymownie i dobitnie bronił praw naszych. Był gorliwym członkiem Towarzystwa Pomocy Naukowéj, popierał czynnie Ligę Polską, a nawet przyjmował pierwsze walne zebranie tego pamiętnego stowarzyszenia u siebie w Kórniku, rozwinął też wielką czynność w Towarzystwie Poznańskiem Przyjaciół Nauk, którego znaczny czas był prezesem. Należał on poprzednio do sławnego Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, które bardzo było wybredne w dobieraniu członków, tak iż nawet Lelewela z początku nie przyjęto. Niemcewicz tak się wyraził 1829 r. o Tytusie, podając powody wybrania go członkiem: „Działyński znany ztąd, że wielkim nakładem dzieła ojczyste nabywa, pracującym ich udziela i wszelkie zamiary piękne wspiera gorliwie."

Szczególną chlubę tego męża stanowi, iż budując wspaniały zamek w Kórniku, użył do jego wzniesienia wyłącznie rąk polskich. „Patrz", mówił on, oprowadzając podróżnego po zamku Kórnickim, „wszystko, co tu widzisz, te filary, te sklepienia, te rzeźby, ten stół, ta szafa, to wszystko z moich dębów, z moich jesionów, buków, z mojego wapna, z mojéj cegły; a to wszystko ręką polskich robotników wykonane. Tu gwoździa jednego obcego nie ma, ani dotknięcia obcéj ręki."

Mamy liczne i kosztowne budowle, wzniesione w czasach ostatnich, a nie wiem czyby choć jeden właściciel mógł powiedzieć, że tylko Polacy te gmachy wznosili. Wielka to zaiste była zasługa Działyńskiego, że tylko swoim dawał zatrudnienie, to też Ojczyzna imię jego przekaże za wzór dalekim pokoleniom. A co jeszcze szczególna Działyński ponosząc tak wielkie ofiary dla sprawy narodowéj, budując zamek, który kilka set tysięcy talarów kosztował i wydając tyle na książki, nietylko nie nadwerężył majątku, ale owszem jeszcze dokupił piękne dobra gołuchowskie. Pragnął on, aby wszystkie historyczne miejsca Polacy posiadali, dlatego chciał kupić Kruświcę, ale nie chciano mu jéj odstąpić.

Był też to opiekun i dobroczyńca uczonych i artystów polskich. Muczkowski, Kielisiński, Kurnatowski, Ney, Romanowski i wielu innych doznało jego gorliwéj opieki. Kochał zdolną i pracowitą młodzież nie szczędząc dla niéj zasobów. Przybywał nawet na zebrania Towarzystwa naukowego akademików polskich w Berlinie, zachęcając ich do pracy. Mówił do nich, iż za zaszczyt sobie uważa, że w tak zacném gronie młodzieży polskiéj się znajduje.

Zakończył życie Działyński 1861 r. dn. 11 Marca w Poznaniu, pochowany w Kórniku. Za ciałem jego szła rzédz można, cała inteligencya Wielkopolski, a nawet rabin żydowski oddał mu ostatnią posługę. Jednego syna pozostawił Działyński i pięć córek: z tych jedna zamężna za księciem A. Czartoryskim, druga za Władysławem Zamojskim, trzecia za hr. Grudzińskim, a czwarta za St. hr. Potockim. Syn Jan poślubił 1857 r. księżniczkę Izabellę Czartoryską.

Oto krótki i niedostateczny rys życia tego niepospolitego męża, tego starego szlachcica polskiego, jak się sam nazywał. Oby takiéj szlachty, uważającéj szlachectwo za obowiązek służenia ojczyznie i ziomkom, jak najwięcéj było!

Dyngus czyli śmigust.

Obrazek na str. 133 przedstawia nam dwóch parobczaków, polewających dziewczynę wodą, czemu się zdala starsza niewiasta przypatruje. Jestto dyngus, jak ten starożytny zwyczaj w Wielkopolsce nazywają. Na pozór dziewczęta unikają téj kąpieli, przecież z drugiéj strony uważa sobie dziewczyna wiejska za upokorzenie, jeżeli jéj nie wydyngusują. Zdarzyło się w miasteczku Grabowie, że parobcy pewnéj służącéj nie polali umyślnie wodą, za to że u żydów służyła. Dziewczyna płakała rzewnie, że taka ją dotknęła hańba. Żydówka uczęstowała hojnie parobczaków wódką i piwem, aby tylko porządnie służącą wodą zlali. Ci też, nie bez wzdrygania jednak, dopełnili dyngusu. Odpłacają się i dziewczęta chłopakom i leją

wodą potężnie. Zwykle w poniedziałek wielkanocny mężczyzni zlewają wodą kobiety, a we wtorek na odwrót, lecz wtorkowy dyngus coraz mniéj jest używany. Prócz tego chodzą po dyngusie małe dzieci, ale jest to najczęściéj tylko upozorowana żebranina. W wyższych towarzystwach polewają mężczyzni damy wodą kolońską, choć nieraz i tam leją się wodą aż miło.

Po wsiach obchodzą w drugie święto wielkanocne parobcy, śpiewając pieśni o dyngusie i zbierają dary, za co wieczorem odbywa się w karczmie zabawa i tańce.

Trudno dójść początku dyngusu. Jedni dowodzą, że ten zwyczaj sięga czasów umęczenia Chrystusa, kiedy Żydzi oblewali wodą gromady, mówiące o zmartwychwstaniu Jezusa, inni odnoszą dyngus do nawrócenia Litwy, kiedy chrzcono całe gromady na raz, kropiąc je wodą. Nie ma na to żadnych dowodów. Dyngus sięga niewątpliwie czasów pogańskich. Było to zapewne powitanie wiosny.

Słowiańskie Listy z Czech.

Co pisze w odcinku dziennik „Brousek". — Naszę brabianki. — Uroczystość 10-letniego trwania towarzystwa czeskich filologów. — Tłumaczenia Mickiewicza, Słowackiego, Goszczyńskiego, Chęcińskiego. — Członkowie towarzystwa „Slavia" i ich czynność. — Nowe czeskie dramata.

Pod napisem: „*Slovanské pokroky* (postępy) *v Polsku*" podał czeski dziennik „Brousek" krótki odcinek, w którym autor mówi o poczciwéj dążności „Lecha", pracującego nad połączeniem Polaków i Czechów, a krom tego przytacza urywki z ostatniéj powieści T. T. Jeża, którą drukuje obecnie lwowska „Gazeta Narodowa." — Urywki te tyczą się głównie dwóch zajmujących postaci w wzmiankowanéj powieści, dwóch polskich hrabianek, które nic a nic nie wiedzą o czeskiéj Pradze i wogóle o czeskim narodzie.

Autor odcinku dziwi się bardzo, jak to może być, aby damy z wyższych sfer polskich nie posiadały żadnych wiadomości o pobratymczym narodzie czeskim i czy to jest logicznie, że są zmuszone o wszystko, co się Czech tyczy, pytać się Jana Baptystę (trzecia osoba w powieści). Ztąd sądzi autor, że Polacy z wielu miar niewiele więcéj wiedzą o Czechach, jak może o niektórym ludzie środkowéj Afryki.

Nie można zaprzeczyć, że utyskiwanie podobne jest niestety! w wielu razach prawdziwe i usprawiedliwione, a Czechy dotąd dla znacznéj liczby Polaków są tylko znane, jako kraina, w któréj wiele wód leczniczych i wyrobów szklanych. Wprawdzie gorzéj było jeszcze za panowania Stanisława Augusta, kiedy pewien biskup, zdaje mi się, Kossakowski, wróciwszy z wód czeskich, opowiadał z zdziwieniem, że w Czechach mówi lud prosty językiem podobnym do polskiego. Wszyscy podziwiali nowożytnego Kolumba, tylko to była bieda, co to może być za lud, mówiący podobnym do polskiego języka, a jednak nie po polsku. Ale też wtedy narodowość czeska była w uśpieniu.

Postacie zatem powieściowe T. T. Jeża są uprawnione i logiczne, a przyznać trzeba że życzliwy Czechom powieściopisarz polski powabnie je opisuje. Niestety! nasze hrabianki w tym względzie jeszcze niżéj stoją od polskich, bo gdy Polki kochają swój kraj ojczysty, i dlań się poświęcają, przynajmniéj w większéj części, to nasze hrabianki nic się o Czechy nie troszczą. Szlachetne Polki, jak np. Zofia Zamojska, Marya Czartoryska, Emilia Plater, Klaudya Potocka, ten „Anioł-Stróż", jak ją zowią, Wilxycka, Sewerynowa Mielżyńska i wiele innych zapisały się złotemi literami w pamięci swego narodu, tak iż nietylko każdy Polak, ale i każdy Czech, każdy Słowianin szanować je powinien. U nas nie ma takich „Aniołów-Stróżów" w arystokracyi, a choć są wyjątki, to nikną, tak są rzadkie i małe. Napraw to Boże!

Z powodu 10-letniéj rocznicy istnienia Towarzystwa Czeskich Filologów urządzono w zeszłym miesiącu w Pradze muzykalny i deklamatorski wieczór z zajmującym programem. Grano słowiańskie melodye, a między innemi mazura Wieniawskiego i odczytano po czesku tłumaczenie polskiéj powiastki Stachurskiego: Pokuta.

W tych dniach wyszedł 325 i 326 zeszyt „Narodowéj Biblioteki," które zawierają dokończenie poetycznych płodów X. Kanonika Sztulca, znanego z tłumaczeń pism nieśmiertelnego polskiego wieszcza Adama. Drugi ten tom zawiera wyborny przekład „Grażyny," „Konrada Wallenroda", „Sonetów Krymskich" „Dziadów" i kilka innych mniejszych poezyi.

Przekłada się wogóle dość wiele z polskiego, na dziś donoszę tylko jeszcze, że pisma prowincyonalne „*Posel od Czerchowa*" (wychodzi w Domażlicach) drukuje czeski przekład polskiéj powieści z czasów Bolesława Chrobrego „*Hromovid i Oda*" przez Sew. Goszczyńskiego, „*Divadelna Biblioteka*" (Teatralna) umieściła tłumaczenie Chęcińskiego: „Szlachectwo Duszy", które niedawno w Pradze na teatrze grano. Chorwackie pismo „*Vienac*" drukuje obecnie pod tytułem: „Etude i Scherzo" w chorwackim przekładzie powieść dr. Bonaw. Kopcia. Tłumaczy Iwan Broz.

Członkowie czeskiego Towarzystwa „Slawia", którego celem jak wiadomo krzewienie znajomości spraw słowiańskich i pielęgnowanie prawdziwéj wzajemności słowiańskiéj, krzątają się bardzo pilnie. Otóż starosta tego towarzystwa F. V. Kvapil, młody poeta, tłumaczy obecnie na czeskie Przedświt i Nieboską Komedyą Krasińskiego, a oprócz tego umieścił kilka innych dobrych tłumaczeń w różnych pismach czeskich. Tenże miał w Umieleckiéj Besedzie odczyt dla dam „O młodości Krasińskiego." Inny znowu członek Slavii Lud. Dolanski napisał życiorys Mickiewicza, drukowany w „Koledzie", wychodzącéj w Ołomuńcu na Morawie. J. Kaubl, także członek Slavii, obznajmia nasze społeczeństwo z płodami południowo-słowiańskiéj literatury. Czynność to zaiste uznania godna i dla tego życzyćby wypadało, aby i Polacy zakładali podobne towarzystwa. Myśmy się tu w Pradze bardzo ucieszyli, że i w Poznaniu o założeniu podobnego Towarzystwa zamyślacie. Daj Boże! abyście je wnet założyli, gdyż niewątpliwie wypłynęłyby ztąd pomyślne skutki.

Ulubiony czeski pisarz dramatyczny I. V. Jerzabek, autor utworu „Służebnik swego pana," napisał nowy dramat: „Syn człowieka," który się bardzo podoba, to też krytyka wyraziła się o téj pracy z wielkiém uznaniem.

Edward Jelinek.

Szlachetny rys z życia X. Onufrego Kopczyńskiego.

X. Kopczyński, który za ułożenie pierwszéj Gramatyki Polskiéj w wiecznéj pamięci naszego narodu żyć będzie, jako dobry Polak wziął czynny udział w powstaniu Kościuszkowskiém 1794 r. Zajął się gorliwie losem rannych, niosąc im staranną opiekę. Zdarzyło się, że dwóch Polaków złożyło dla rannych datki bez wymienienia swego nazwiska. Z tego powodu podał X. Kopczyński do ówczesnéj Gazety Rządowéj następujący artykuł: *Ofiara obywatelska i chrześciańska.* Cnota prawdziwa najgodniejszą jest uwielbienia, kiedy czyniąc dobrze współziomkom, nietylko chwały, ale samego wspomnienia unika. Filozofowie dawni, na czele ksiąg, o pogardzie chwały pisanych imiona swoje kładący, sprawiedliwie, jako pełni próżności i sprzeczności z sobą, wyśmiani byli. Lepszymi, bo chrześciańskimi filozofami są, z pomiędzy tysiącznych, dwaj

obywatele polscy, którzy czynią ofiarę na rannych wolności obrońców, po lazaretach, nie najwygodniéj złożonych, jeden z rocznéj intraty swojéj, dziesięcinę co miesiąc dający, drugi posyłając z fabryki swojéj sukna 104 łokci, kuczbai 240 łokci, 114 łokci nowego płótna, a 16 sztuk staréj bielizny, i obietnicę kilka jeszcze kamieni wełny, gdy będzie wyrobiona; tym zamykając listy swoje, że *nie szukając chluby z tego, co jest obowiązkiem obywatela, nie podpisują imion swoich, żeby nie byli w gazecie umieszczeni.* W zamilczeniu imion, cnota dobroczynności czystszą jest, a przeto piękniejszym do naśladowania wizerunkiem. O! gdyby moraliści chrześciańscy w cały kraj nasz przykład tych dwóch obywatelów wmówić potrafili, żeby zarabiano na chwałę, a od chwały uciekano: żeby się rzeczami, nie imionami szczycono, żeby cnoty o narodzie, nie o ludziach głoszono; duch obywatelski, z duchem ewangelicznym spojony, wytępiłby ducha egoizmu, i najpiękniejszą chwałą zapieczętowałby wiek XVIII.

X. Onufry Kopczyński assessor w Dep: Lazaret:

Jakżeż te proste, serdeczne słowa malują nam pięknie zacną duszę X. Kopczyńskiego, tak wielce o język polski zasłużonego!



ŁAMIGŁÓWKI.

Z następujących 17 zgłosek czyli sylab trzeba utworzyć 9 wyrazów. Cie — racz — I — miesz — rew — O — O — kus — Na — lę — bra — Kra — Le — gła — Wzrok — Ze — gar. Zgłoski wielkiemi literami oznaczają początek wyrazów, które mają następujące znaczenie: 1) Książę Lechitów. 2) Ten który orze. 3) Rzeka polska. 4) Pies do polowania. 5) Jeden z 5 zmysłów. 6) Przedmiot ze stali. 7) Szukaj w oborze. 8) Zwierz w Afryce.

Początkowe głoski tych 9 wyrazów tworzą nazwisko znakomitego polskiego poety, który umarł w początku XVII. stulecia.

Ułożył *Józef Koszenbach Doliwa.*

Kto rozwiąże tę łamigłówkę, niech też doda słów kilka o życiu tego poety.

Rozbita tabliczka.

Idzie chłopczyk czeski do szkoły, a wtém pada na ziemię i tłucze tablicę. Płacze rzewnie, gdyż na tabliczce były rachunki dobrze napisane, za coby dostał pochwałę, a teraz czeka go może kara. Cofnijmy się w nasze młode lata, a pewnie i nam przydarzyło się nieraz coś podobnego. Obrazek ten rysował znakomity czeski illustrator Zwierzyna, który swój ołówek poświęcił wyłącznie słowiańskim przedmiotom.

„Lech" wychodzi co sobotę w Poznaniu. Przedpłata ćwierćroczna na pocztach wynosi 2 marki czyli 20 sgr., roczna 8 marek czyli 5 złr. Można i w redakcyi zapisywać. Wszelkie listy i przesyłki dochodzą pod adresem: *„Lech Poznań."*

Redaktor i nakładca Józef Chociszewski w Poznaniu. — Drukarnia Handke & Chocieszyński w Poznaniu.